

Drzewiński Andrzej

Kula prawdy

Z „Fahrenheit”

Kocham wrocławski Rynek starą, dobrą i dojrzałą miłością, na jaką stać tylko małżeństwo po wielu latach, które przeszło już niejedno. Na moje uczucie bez wątpienia wpływa fakt, że pracuję tu już trzydzieści... nie, czterdzieści lat. Jestem kelnerem i choć kilka razy zmieniałem miejsce pracy, to nigdy nie opuszczałem ratuszowego placu. Poznałem wielu ludzi, dobrych i złych, ciekawych i nudnych, pokręconych i prostolinijnych, po prostu różnych.

Tego popołudnia Zenek zamiatacz zapukał w szybę koło stolika, gdzie rozkładałem nakrycia. Nawet nie próbował wołać przez odgradzające nas szkło, jedynie wskazywał coś palcem. Ruch w interesie był jeszcze niewielki, więc bez oporów wyszedłem na zewnątrz.

– Widzi pan? – Potarł swój zarośnięty podbródek. – Każdy będzie się mógł dowiedzieć prawdy o sobie.

Zenek zawsze używał formy *pan*, co sugerowało życiorys bogatszy niż mogłoby się zdawać. Podążyłem wzrokiem za jego spojrzeniem i dojrzałem srebrną konstrukcję wielkości budki telefonicznej. W zarysie obła, jedną ścianę miała płaską z niewielką wnęką i otworem. Obok właśnie montowano tablicę. Drobnych liter z tej odległości nie byłem w stanie odczytać, ale wytłuszczony napis głosił: *kula prawdy*.

Tak w ogóle, to na Rynku, jak często się działo ostatnimi laty, szykowano kolejną imprezę weekendową. Tym razem hasłem przewodnim miała być magia, wróżby, talizmany i inne takie hokus-pokus. Nie powiem, żeby tematyka interesowała mnie specjalnie. Była dobra jak każda inna. Najważniejsze, że mogła ściągnąć widzów na Rynek, a tym samym gości do lokali.

– Co to właściwie ma być, panie Zenku?

Zamiatacz, zazwyczaj dobrze poinformowany, wzruszył ramionami.

– Zdaje się będzie można wyciągać karteczki z przepowiedniami – stwierdził i, odpychając się zamaszystymi ruchami miotły, odpłynął dalej.

Chwilę jeszcze przyglądałem się kramarzom porządkującym towar, a później wróciłem do swoich obowiązków. Pewnie zapomniałbym o srebrnej kuli, gdyby nie dalsze wydarzenia, które tak nieoczekiwanie zakłóciły sobotnie popołudnie.

Pierwszym zwiastunem był elegancko ubrany mężczyzna po trzydziestce, który z trzaskiem otworzył drzwi, szybkim krokiem przemierzył salę i opadł na krzesło przy narożnym stoliku. Zaakceptował moją sugestię, nawet nie słuchając, co proponuję, i machnięciem ręki dał do zrozumienia, że chce zostać sam. Sam, ale z komórką w dłoni, dla wielu nieodłączną smyczą w ręku innych.

– To musi być sygnał, wiemy o was, więc zbierzcie kasę i poczekajcie, aż o nią poprosimy – szeptał do aparatu, gdy stawiałem kawę na stoliku. – Nie, to nie przypadek! – Przerwał ze złością. – Wszystkie szczegóły się zgadzają.

Ktoś powie, że podsłuchuję. Nieprawda! Po prostu mam dobry słuch, a lata praktyki nauczyły mnie nie obnosić się z tym.

Rychło jednak moją uwagę, jak i większości gości, zwróciły uniesione głosy dochodzące zza okien. Nietypowe, nie mające nic wspólnego z jakąś pijacką burdą, sprawiły, że wyszedłem na zewnątrz. Przy srebrnym automacie stało zadziwiająco dużo ludzi, większość przyglądała się, lecz sporo stało w kolejce. Źródłem zamieszania była zadbana kobieta w średnim wieku, po sylwetce i opaleniznie sądząc, stała bywalczyni salonów odnowy. Jej język jednak mocno odbiegał od standardu.

– Kto, kurwa, to napisał?! – krzyczała, tocząc wściekłym wzrokiem. – No, kto mi to podłożył?

Jakiś nastolatek obejmujący dziewczynę o różowych włosach roześmiał się w głos i momentalnie dostał od kobiety torebką w twarz.

– Złamałaś mi nos! – zawył bełkotliwie, a po jego dłoniach popłynęła krew.

Jego partnerka, jak tygrysica skoczyła na damulkę i zaczęły się szarpać niczym w podrzędnym filmie. Kilku z moich gości zapragnęło przyjrzeć się temu z bliska, więc szybko musiałem zabrać się za wystawianie rachunków. Kiedy, nadal stojąc w progu, uniosłem głowę znad ostatniego kwitka, kilku policjantów odprowadzało całą trójkę do niebieskiej furgonetki. Chłopak przyciskał do nosa kilka tamponów.

Rozejrzałem się. Wokoło przechodziło wiele osób, wśród których dało się zauważyć pewne napięcie. Jakiś mężczyzna, patrząc na karteczkę w dłoni, omal nie wpadł na latarnię. Zirytowany rzucił świstek na ziemię, lecz po paru szybkich krokach zawrócił, podniósł ją z trotuaru i, starannie drąc, wrzucił między kratki studzienki. Koło kuli wybuchła kolejna awantura. Młodej kobiecie ktoś dla żartu wyrwał kartkę z ręki i teraz z płaczem goniła go między ludźmi.

Kolejka urosła znacznie, wśród stojących mogłem dostrzec sporo znajomych twarzy, nawet mignęła mi nieogolona facjata Zenka.

– To nie są żadne przypadkowe przepowiednie czy horoskopy – usłyszałem niski, męski głos kilka metrów ode mnie. – Ludzie dostają karteczki, gdzie jest napisane wprost: zrobiłeś to, oszukałeś tego, ukradłeś...

Mężczyzna, częściowo zasłonięty parasolem stolika, przyciskał komórkę do ucha.

– Nie, ja niczego nie ukradłem – warknął po chwili. – Daruj sobie dowcipy. Kulę należy usunąć, bo dojdzie do czegoś bardzo niedobrego.

Udając, że coś zapisuję na bloczku, chętnie nadstawiałem ucha.

– Wiem, że to nie podlega tobie, ale możesz do niego zadzwonić – znowu chwila przerwy. – Jeśli nawet jest to żart, to musimy go przerwać.

Mężczyzna skończył rozmowę, oszacował mnie wzrokiem, lecz w końcu poszedł dalej. Nie dziwota, kto będzie przyglądał się anonimowej postaci kelnera, jeśli nieopodal rozpętuje się tajfun.

Właściwie kolejka przestała już istnieć. Ludzie kłębili się koło kuli, gdzie po wsunięciu ręki w otwór na dłoń spadała karteczka. Przepychając się i klnąc, co silniejsi napierali na czoło, ktoś krzyczał, że zgubił dziecko, inny wyszedł z podeptanymi okularami. Myślę, że działał tu mechanizm owczego pędu, dostania się do czegoś atrakcyjnego, do czego walą inni jak muchy do miodu. Nie sądzę, aby większość tłumu była świadoma, co dokładnie dostanie, kiedy wsunie dłoń do kuli.

Nagle usłyszałem charakterystyczny dźwięk syren i od strony Odrzańskiej wjechała na Rynek kolumna kilku wozów policyjnych poprzedzających sporą ciężarówkę z dźwiękiem. Ludzie ustępowali jej niechętnie, niejednokrotnie demonstrując wrogą postawę, lecz tuzin członków brygady specjalnej, wyposażonych w nieodłączne hełmy, kamizelki i długie pałki, przeważył szalę. Ktoś tam jeszcze wrzeszczał o swoich prawach, inny krzyczał o skandalu, lecz kiedy odciągnięto ostatniego z chętnych już z wyszarpniętą karteczką w dłoni, kordon mundurowych otoczył automat. Wtedy strzelając spalinami, do środka wjechała

ciężarówka, uniosła ramię dźwigu i zaczepiła hak o uchwyt na szczycie kuli. Automat uniósł się z chodnika, zakolebał, a potem, widać zbyt mocno szarpnięty, z trzaskiem obalił tablicę z napisem *kula prawdy*. Zgromadzeni gapię wybuchli śmiechem, co do końca rozładowało atmosferę. Gdy kula wylądowała na naczepie, kolumna ruszyła z powrotem i już nikt nie tamował jej drogi. Jeszcze kilka minut wokół miejsca gromadzili się ludzie, niektórzy dyskutowali, ale i oni w końcu odeszli. Jeszcze tylko drobne strzępki papieru przez jakiś czas przypominały o wydarzeniu.

To właściwie cała historia. Dalej pracuję w tym samym lokalu, dalej obsługuję tych samych ludzi i w zasadzie nic się nie zmieniło. Choć nie... już więcej nie spotykam Zenka. Co ciekawsze, jakiś czas później natrafiłem w gazecie na jego zdjęcie. Tytuł artykułu brzmiał *Odzyskana twarz*, a całość dotyczyła rozwikłania sporej afery finansowej. Najbardziej jednak utkwiło mi w pamięci, co Zenek odpowiedział dziennikarzowi na pytanie, dlaczego wrócił: *Pewne zdarzenie, nieważne jakie, sprawiło, że nabrałem przekonania, iż jestem niewinny*.

Kocham wrocławski Rynek, szanuję jego magiczną atmosferę, chociaż czasami żałuję, że nie wykorzystałem wszystkich okazji, jakie mi dawał. Pewnie dlatego przy nakrywaniu tego stołu pod oknem częściej wyglądam na plac i spoglądam na miejsce, gdzie stała srebrna kula. Może jeszcze kiedyś przyjedzie, może... Postaram się jej nie przegapić.